KATY CANNON

PRZEPIS NA MIŁOŚĆ

ZIELONA SOWA

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2019

www.zielonasowa.pl

PRZEPIS NA MIŁOŚĆ

KATY CANNON

PRZEPIS NA MIŁOŚĆ

Tłumaczyła Bożenna Stokłosa

ZIELONA SOWA

Simonowi
Z Tobą każdy dzień kończy się happy endem. Całus

Tytuł oryginału: *How to Write a Love Story*
Tłumaczenie: Bożenna Stokłosa
Redaktor prowadzący: Anna Kubalska
Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Jolanta Spodar, Marta Stec
DTP: Studio 3 Kolory

First published in Great Britain in 2018 by
STRIPES PUBLISHING
An imprint of the Little Tiger Group
1 Coda Studios, 189 Munster Road,
London SW6 6AW

Text copyright © Katy Cannon, 2018
Cover copyright © Stripes Publishing Ltd, 2018
Cover heart images © Shutterstock.com/Apiwatme
Inside images © Shutterstock.com
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2019

All rights reserved.

ISBN 978-83-8154-089-6

Wydanie I

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@zielonasowa.pl

1.

– Święty Walenty był męczennikiem – pobito go kijami i ścięto. Czy naprawdę uważasz, że słusznie jest patronem zakochanych? – spytał Matias.
– Wygląda na to, że tak – odpowiedziała Hope.

Juanita Cabrera, *Ogród o brzasku*, 2017

Rodzina Frostów zajmuje się zawodowo miłością. Zapewne wiele osób dziedziczy talent po swoich krewnych, na przykład mój przyjaciel Rohan. Jego rodzice są nauczycielami muzyki i on też będzie wykonywał zawód muzyczny (to znaczy będzie grał na puzonie w światowej sławy orkiestrze albo na gitarze prowadzącej w zespole. Zależy to od tego, kto będzie miał

decydujący głos w sprawie jego przyszłości – on czy jego rodzice). Rodziny niektórych uczniów z naszej szkoły od zawsze mają restaurację lub sklep. Są też tacy, których wszyscy krewni są nauczycielami: rodzice, ciotki i wujowie oraz dziadkowie.

Moja rodzina natomiast lubi się trochę wyróżniać. Nie posiada firmy przechodzącej z ojca na córkę czy z matki na syna, ale dziedziczy się w niej talent do zajmowania się zawodowo miłością, tą przez duże M. Niestety, nie znaczy to, że wszyscy zakochujemy się od pierwszego wejrzenia i potem nigdy nie kłócimy się z ukochanymi. (Na przykład moja babcia Bea wychodziła za mąż czterokrotnie, co świadczy o tym, że dozgonna miłość jest jeszcze przed nami. Poza tym uchodzi ona za królową romansu jako pisarka uprawiająca ten gatunek literacki). Znaczy to natomiast, że w naszej rodzinie wszystko kręci się wokół miłości, tej przez duże M, jak napisałam wyżej.

Pochłaniający członków mojej rodziny temat miłości i romansu stawia przed nimi naprawdę wysokie wymagania. To dlatego postanowiłam na razie ignorować to uczucie przynajmniej w życiu osobistym. Koledzy ze szkoły nie wytrzymują przecież porównania z bohaterami romansów napisanych przez babcię. Jedyny problem polega na tym, że nie da się ignorować miłości w walentynki. Na szczęście było coś, co czternastego lutego pozwoliło mi oderwać od niej myśli.

Tego dnia naszą szkołę imienia Świętego Stefana zdobiły umieszczone trochę przypadkowo w różnych

miejscach szkarłatne serca, różowe chorągiewki i czerwone róże. Przechodząc obok tych dekoracji, przewracałam oczami, bo przez cały czas skupiałam uwagę na ekranie telefonu, czekając, aż przeglądarka otworzy stronę internetową. Dziś ukazała się najnowsza powieść babci – ostatnia z cyklu wielkich romansów „Jutrzenka" – i wiele zależało od jej sukcesu. W każdej chwili mogły się pojawić pierwsze recenzje, a ja desperacko chciałam je poznać. Niestety, mój telefon wyraźnie zawodził.

Z westchnieniem szłam zatłoczonymi korytarzami do świetlicy, aby usiąść przy stole w kącie, gdyż czasami był tam lepszy zasięg. Wydawało mi się, że każdy albo wypatruje kogoś, komu chce wręczyć walentynkę, albo ukrywa się za innymi przed kimś, kto chce ją dać jemu. Byli też tacy, którzy na oczach wszystkich zostali upokorzeni, bo ktoś wybrzydzał na kartkę, jaką mu ofiarowali. Skrzywiłam się na myśl o tym, że mogłabym doświadczyć którejś z tych trzech sytuacji. Chciałam sobie oszczędzić związanego z tym zabójczego zakłopotania, więc wolałam na razie nie zakochiwać się w nikim. Czułam, że rozmowa z chłopakiem, w którym bym się zadurzyła, nie przebiegałaby tak gładko jak przekomarzanie się zakochanych w starannie zredagowanych scenach w powieściach babci. Opornie szły mi nawet rozmowy przeprowadzane w myślach, kiedy próbowałam sobie wyobrazić, że któregoś dnia tracę dla kogoś głowę.

Jak dotychczas nic takiego mi się nie przydarzyło, z czego byłam zadowolona. Uważałam, że nasza

szkoła jest świetna, na tyle, na ile szkoła może taka być, ale nie ma tu zbyt wielu kandydatów na bohaterów romansu – głównie dlatego, że najstarsi mężczyźni mają zaledwie po osiemnaście lat, jeśli nie liczyć nauczycieli (a ja absolutnie nie brałam ich pod uwagę). Wolałabym umówić się na randkę z kimś bardziej doświadczonym, z kim mogłabym porozmawiać o czymś innym niż to, o czym zwykle rozprawia się w szkole – kto z kim się spotyka, kto co o kim mówi i co było zadane w ubiegłym tygodniu. Chciałam poznać kogoś innego niż uczeń i byłam zdecydowana na to poczekać. Znaczyło to również, że muszę się wystrzegać obchodzenia walentynek w naszej szkole, gdyż łączy się z tym wspomniane upokorzenie.

Na ile się orientowałam, nasza szkoła była taka sama jak inne. Jak wszędzie, nosiliśmy mundurki, w których chyba nikomu nie było do twarzy (i blezery z emblematem szkoły), jedliśmy posiłki w szkolnej stołówce serwującej zarówno dania „niesmaczne, ale być może zdrowe", jak i te „zapewne smaczne, lecz mogące przyprawić o zawał", a uczniowie starszych klas tworzyli typowe szkolne grupy towarzyskie i paczki, które zbierały się po kątach w świetlicy lub stołówce albo na dworze. Ale mieliśmy też masę zabawy, a nauczyciele zachęcali nas do rozwijania zainteresowań.

Jak można było się spodziewać, w tym tygodniu niektórzy żyli miłością, jeśli sądzić na podstawie umieszczonych na ścianach cytatów z wierszy i wspomnianych dekoracji. Zauważyłam nawet fragment jednej powieści

babci, wydrukowany literami pełnymi zawijasów. Widniał na drzwiach prowadzących na korytarz, gdzie znajdowała się pracownia języka angielskiego.

Przeszłam przez nie, omal nie wpadając na Justina, kolegę z klasy. Gdy zobaczyłam w jego dłoni pogniecioną walentynkę, posłałam mu pełen współczucia uśmiech. Stał sztywno i spoglądał na Janę, dziewczynę ze starszej klasy, jak oddalała się od niego, potrząsając warkoczem à la rybi ogon.

Na mój widok odwrócił się od niej, wzruszył ramionami i stwierdził filozoficznie:

– To była ryzykowna próba.

– Na miłość zawsze warto postawić – pocieszyłam go, choć miał rację, mówiąc, że podjął ryzykowną próbę.

Lubiłam go, ale trzeźwo stwierdzałam, że jego zainteresowania (praca nad zaprojektowaniem aplikacji, która automatycznie wyszukiwałaby i identyfikowała robaki, stawonogi oraz inne bezkręgowce, jak mi ostatnio powiedział) mają się nijak do jej zainteresowań (bycie gwiazdą dziewczęcej drużyny hokejowej). Poza tym od pół roku Jana spotykała się z chłopakiem imieniem Ian.

– Naprawdę? – spytał zdziwiony. – To kiedy ty podejmiesz próbę?

– Może w przyszłym roku – zbyłam go, śmiejąc się.

– Jesteś pewna, że dopiero w przyszłym? Słyszałem, że do naszej klasy przyjdzie nowy chłopak... – stwierdził sceptycznie.

W tym, co powiedział, najważniejsze było słowo „chłopak".

– Na twoim miejscu nie spodziewałabym się zbyt wiele – odcięłam się, odchodząc od niego.

Mój stosunek do miłości nie stanowił żadnej tajemnicy. W naszej szkole wszyscy wiedzieli, że nie umawiam się na randki – czym moja babcia była bardzo zawiedziona. Krążyła nawet pogłoska, że mam niezwykle surowego ojca, który mi na to nie pozwala. Ale tylko do czasu, gdy w dniu kariery został on zaproszony do naszej szkoły i opowiedział uczniom o swoim zawodzie profesora matematyki, a także objaśnił im rachunek prawdopodobieństwa – w którym się specjalizuje – grając z nimi w papier, kamień, nożyce (w czym okazał się pesząco dobry). Wówczas dla wszystkich stało się jasne, że mój „niezwykle surowy" tata to czyjś wymysł. Prawdę powiedziawszy, trochę tego żałowałam, bo to byłaby dobra wymówka, żeby się nie umawiać.

W świetlicy starszych klas panował tłok, ale udało mi się znaleźć wolne miejsca przy oknie, pomiędzy uczniami uczęszczającymi na zajęcia muzyczne (zgromadzonymi wokół telefonu i słuchającymi nagrania czyjejś gry na gitarze) i kilkoma zawodnikami drużyny rugby, którzy śmiali się z walentynek, otrzymanych głównie od dziewcząt z klas młodszych.

Przewróciłam oczami i spojrzałam na ekran telefonu, ponownie próbując wczytać interesującą mnie stronę internetową, lecz znowu bez powodzenia.

– Sprawdzasz liściki miłosne? – zażartował mój przyjaciel Rohan, zwalając się na krzesło obok mnie. Trzymał w ręce czerwoną kopertę.

– Już to widzę! Raczej unika spojrzenia każdego chłopaka, który próbowałby jej wręczyć walentynkę – skomentowała ze śmiechem nasza przyjaciółka Anja, zajmując miejsce po mojej drugiej stronie.

Spojrzała na członków drużyny rugby, którzy śmiali się do rozpuku z wyjątkowo nieudanego rymu w zdaniu: „Róże są czerwone w szklanym wazonie". Trudno było uwierzyć, że w ubiegłym roku przez kilka tygodni umawiała się z jednym z nich. Zastanawiałam się, o czym teraz myśli.

– Ani jedno, ani drugie – odpowiedziałam, wkładając telefon do plecaka. – Szukam recenzji najnowszej książki babci, ale nie mogę złapać zasięgu.

– Oczywiście! Dziś ta książka się ukazała, prawda? – upewniła się przejęta tym Anja i spytała: – Czy twoja babcia niepokoi się o te recenzje?

– Dlaczego miałaby się niepokoić? – zdziwił się Rohan. – Mogę wam już teraz powiedzieć, co napiszą recenzenci: to samo, co mówi moja mama po przeczytaniu kolejnej książki tej autorki. – Zmienił ton głosu na cienki, który wcale nie przypominał barwy głosu jego mamy, i dodał: – Och, ta Beatrix Frost naprawdę umie opowiadać historie. Gdyby tylko twój tata był bardziej podobny do któregoś z ich bohaterów...

Roześmiałam się wbrew woli, bo babcia zawsze niepokoiła się tym, jak zostanie przyjęta jej kolejna książka. Wiedziałam o tym, choć nigdy się do tego nie przyznała.

– W ubiegłym tygodniu kupiła sobie aż trzy kapelusze – zwróciłam się do Anji, bo ona rozumiała, co znaczy z powodu napięcia nerwowego odczuwać przymus kupowania.

– To niedobrze – skomentowała ze skrzywioną miną. – Nie potrzebuje ich przecież więcej.

„Owszem, nikt nie potrzebuje tylu kapeluszy, ile ma moja babcia" – pomyślałam.

– Ale dlaczego się niepokoi? – spytał kompletnie zdezorientowany Rohan. – Jest przecież sławna. Co może pójść nie tak?

„Sława nie rozwiązuje wszystkich problemów" – pomyślałam i nonszalancko wzruszyłam ramionami, nie chcąc, aby spostrzegli, że ja też się denerwuję. Wytłumaczenie Rohanowi, dlaczego martwię się o tę książkę bardziej niż babcia, byłoby dla mnie trudniejsze niż udzielenie mu odpowiedzi na pytanie, skąd się wzięła jej słabość do kapeluszy.

– Pisała tę książkę w czasie choroby – oznajmiłam i przeniosłam się myślami do tego strasznego dnia, kiedy szłam obok niej, gdy ratownicy medyczni prowadzili ją do karetki pogotowia, prosząc, aby oddała im trzymaną kurczowo w dłoni stertę notatek, i zapewniając, że nic im się nie stanie. – Mało brakowało, a nie skończyłaby jej. Pewnie dlatego przywiązuje

większą wagę do jej ocen przez krytyków literackich, niż przywiązywała do recenzji swoich wcześniejszych powieści.

Babcia wtajemniczyła mnie w swoją pracę, gdy tylko nauczyłam się czytać i pisać. Potem, kiedy miałam dwanaście lat, moi rodzice się rozstali. (Powiedziałam wam, że w naszej rodzinie dozgonna miłość jest jeszcze przed nami). Wówczas ja i tata wprowadziliśmy się do domu babci. (Po roku, kiedy mama do nas wróciła, wszyscy troje zostaliśmy w tym domu). To wtedy po raz pierwszy przeczytałam książkę Beatrix Frost, jej pierwszą z cyklu powieściowego „Jutrzenka". Od tamtej pory jestem ich fanką. Wkrótce potem babcia przyjęła ode mnie pomoc: przepisywanie na komputerze jej odręcznych notatek, robienie researchu do pisanych przez nią powieści i organizowanie z jej udziałem burzy mózgów w celu zdobywania nowych pomysłów, a w końcu także czytanie pierwszych wersji jej książek i zgłaszanie do nich krytycznych uwag. Jednak w ciągu ostatnich czterech lat nigdy nie widziałam babci tak niepokojącej się o przyjęcie jej książki przez recenzentów jak w przypadku tej, która ukazała się dziś.

Beatrix Frost dostała zapalenia płuc, które mogło się skończyć jej śmiercią, jak później powiedzieli nam lekarze. Przez jakiś czas było z nią źle, co przypomniało nam, że się starzeje. Każda jej kolejna książka mogła być ostatnią, choć nigdy o tym nie mówiła, a ja nawet nie chciałam o tym myśleć. Jej najnowsza

powieść również dla mnie z różnych powodów znaczyła więcej niż wcześniejsze.

W czasie mojej rozmowy z Anją i Rohanem skończyła się piosenka odsłuchiwana na telefonie przez siedzących przy stole obok nas uczestników zajęć muzycznych.

– Słyszałem, że gra na pianinie i gitarze i śpiewa – oznajmił jeden z nich.

– Jasne, ale założę się, że na potrzeby telewizji zastosowali auto-tune, skorygowali mu wysokość dźwięków i głosu – powiedział inny. – W naszej szkole mu tego nie zapewnią.

Nadstawiłam uszu. Czyżby rozmawiali o tym nowym uczniu, o którym wspomniał Justin? Ale w gruncie rzeczy wcale mnie to nie obchodziło. Nie interesowałam się przecież chłopakami.

Powróciłam do pogawędki z moimi przyjaciółmi.

– Nie przejmujcie się moją babcią – zakończyłam ten temat, wskazałam dłonią trzymaną przez Rohana w ręce walentynkę i spytałam: – Dla kogo ją przeznaczyłeś?

– Dla Violi Edwards – odparł, uśmiechając się od ucha do ucha. – Tej nowej asystentki nauczyciela w ósmej klasie.

Przewróciłam oczami, bo to była wysoka, szczupła dziewczyna o olśniewającej urodzie i nosiła na palcu lewej dłoni duży pierścionek zaręczynowy. Rohan miał u niej jeszcze mniejsze szanse niż Justin.

– No to życzę powodzenia – oznajmiłam ironicznie.

Rohan wzruszył ramionami.

– Chyba nie może być gorzej niż w poprzednie walentynki, prawda? – zauważył.

– Trudno się nie zgodzić – przytaknęłam.

W ubiegłym roku Rohan zdołał zerwać ze swoją ówczesną dziewczyną w przeddzień walentynek, po czym dowiedział się (niestety za późno), że kupiła dla nich bilety na występ jego ulubionego zespołu muzycznego w następnym miesiącu. Co gorsza, zanim wrócili do siebie na kilka miesięcy, zdążyła już te bilety sprzedać. Jak zgryźliwie skomentowała Anja, zasłużył sobie na to z powodu swojego fatalnego wyczucia czasu. Od kiedy ponownie zerwał z tą dziewczyną w czasie letnich wakacji, był singlem. Gdyby babcia pisała romanse, których bohaterami byliby moi przyjaciele, takie książki na zawsze zniechęciłyby czytelników do romansowania.

– Tilly?! – zawołała wchodząca do świetlicy Lola, obok której siedziałam na lekcjach historii. Zmierzała ku mnie wraz z kilkoma innymi dziewczynami z naszej klasy, z którymi zwykle się trzymała. Miała w dłoni trzy czerwone koperty. (Była raczej miła, ale nigdy nie potrafiłam się pozbyć wrażenia, że rozmawia ze mną tylko z powodu mojej sławnej babci). Podeszła do stołu, przy którym siedziałam z Anją i Rohanem, i zakomunikowała: – Bibliotekarka znowu cię szukała. Ja tylko cię o tym uprzedzam na wypadek, gdybyś chciała czmychnąć.

Wzięłam do ręki plecak, wstałam z krzesła i oznajmiłam:

– Dzięki, Lola. Chętnie pójdę do biblioteki. Tak czy inaczej wybierałam się tam za chwilę.

Słysząc to, przewróciła oczami. Tylko nieliczni w naszej klasie wiedzieli, dlaczego wolę spędzać popołudniowe zajęcia pozalekcyjne w szkolnej bibliotece niż uprawiać sport, angażować się w działalność klubu teatralnego, śpiewać w chórze czy robić jeszcze coś innego. Podkreślałam, że to nieuchronne, skoro pochodzę z takiej rodziny. (Nie wspominałam, że nie mam słuchu muzycznego i brzydzę się szkolnym kostiumem do ćwiczeń na wuefie. Wolałam, aby mnie uważali za świruskę niż za beztalencie w jakiejś dziedzinie). Ale jak się okazało, dokonałam dobrego wyboru, gdyż Rachel Maskelyne, nasza szkolna bibliotekarka, gustowała w bardzo różnych książkach. Nie polecała nam do czytania wyłącznie lektur i poradników samodoskonalenia się. Poza tym należała do komitetu organizacyjnego prestiżowego Festiwalu Literackiego w Westerbury. Dzięki temu organizowała także dla nas wszelkie możliwe wydarzenia literackie. Owszem, część czasu spędzanego w bibliotece poświęcałam na zaprowadzanie porządku na półkach z książkami, ale wykonywałam także przyjemne zajęcia. Na przykład pomagałam Rachel prowadzić klub książki dla uczniów młodszych klas i organizować w szkolnej auli spotkania z pisarzami. Oczywiście zawsze mogło się zdarzyć, że jakiś uczeń przyjdzie do biblioteki tylko po to, aby usiłować czytać na głos opisy scen erotycznych w książkach babci i wprawiać mnie

tym w zakłopotanie. W pewnym momencie stało się to nawet rodzajem próby, którą trzeba było przejść, aby zostać pasowanym na ucznia dziewiątej klasy. Ale już jako uczennica siódmej klasy nauczyłam się obracać to w żart. Byłam dumna z babci i nie obchodziło mnie, czy ktoś o tym wie, czy też nie.

– Naraska – rzuciłam na pożegnanie Anji i Rohanowi i ruszyłam do biblioteki, gdzie jest najlepszy internet.



Przemierzając gmach szkoły, napotkałam różne osoby, którym powiedziałam „siema". Natrafiłam też na pokaz uczuć Jany i Iana. Skrzywiłam się z niesmakiem, słysząc, jak on czyta jej w obecności licznie zgromadzonych uczniów jakieś koszmarne wierszydło, które podkradł komuś w internecie. (Bo właściwie nie miałam nic przeciwko samemu pokazowi, lecz przeciwko wyborowi złej poezji).

Z ulgą pchnęłam ciężkie drzwi biblioteki i weszłam do środka, gdzie istniały tylko romanse wymyślone przez autorów książek, a każdy obiekt uczuć – pomimo swoich wad – był godny prawdziwej miłości, którą otrzymywał na końcu opowiadanej historii.

– Tilly! – wykrzyknęła na mój widok uradowana Rachel, co wróżyło źle, jeśli miała dla mnie do wykonania jakąś nudną pracę, albo dobrze, jeśli zamierzała mi przekazać jakąś wspaniałą wiadomość.

Na czmychnięcie było już za późno. Zamknęłam więc za sobą drzwi z nadzieją, że czeka mnie to drugie.

– Lola mi powiedziała, że mnie szukasz – odparłam i wyjęłam z plecaka telefon.

Sprawdziłam sygnał, ale w dalszym ciągu był słaby. Wydawało się, że z jakiegoś powodu mój telefon nie połączy się z wi-fi w bibliotece. Wyrzucałam sobie, że nie wzięłam dziś do szkoły laptopa. Ostatecznie uznałam, że jeśli do lunchu sygnał się nie pojawi, muszę skorzystać z jednego z bibliotecznych komputerów. Włożyłam telefon do kieszeni blezera.

– Tak! Sądziłam, że zbierasz walentynki od tłumu swoich wielbicieli, ale...

Nagle umilkła, bo ktoś siedzący za nami parsknął śmiechem, wyraźnie rozbawiony jej słowami. Oj! Był tu Drew Farrow. Chodził do naszej szkoły od początku roku szkolnego i niemal wszystkie wolne chwile spędzał w bibliotece. Nie miałam pojęcia, dlaczego tu przesiaduje, bo rzadko wypożyczał książki, lecz godzinami gapił się w ekran swojego laptopa (oczywiście w miejscu, gdzie zasięg wi-fi był najlepszy). Ale to jasne, że coś czytał. Bardzo się od siebie różniliśmy w ocenie rozmaitych książek. Uczęszczaliśmy razem tylko na lekcje literatury angielskiej, jednak z pewnością zarówno nasi nauczyciele, jak i inni uczniowie mieli nas serdecznie dość. Bo zwykle to my oboje spieraliśmy się na temat lektury, którą aktualnie omawialiśmy. Nasz nauczyciel, pan Emerson, stale powtarzał, że oboje mamy na każdy temat odmienne zdanie. (Ale

mówił to tak, jakby to było coś złego). Wbrew temu wygadaniu na lekcjach, Drew chyba z nikim nie rozmawiał poza salą lekcyjną, a w każdym razie ja nigdy go nie widziałam w takiej sytuacji. Zapewne jednak wdawał się z innymi uczniami w pogawędki, gdyż raczej wiedział wszystko, co w danym momencie działo się w szkole. Jak teraz.

– Och, Rachel, chyba nie wyobrażasz sobie, że Tilly Frost umawia się z jakimś zwykłym śmiertelnikiem z tej szkoły na randkę? – odezwał się, kręcąc głową, jakby drwił ze mnie, na co nie mogłam nic powiedzieć, bo zapewne miał talent tylko do kpienia z innych. – Uważa się za zbyt superową dla takich jak my. Pewnie przy świadkach przysięgała, że dopóki nie spotka prawdziwego mężczyzny, będzie singielką. Prawda, Frost?

Spojrzałam na niego zdumiona. Wykłócaliśmy się na lekcjach o książki, lecz nigdy dotychczas nie zaatakował mnie osobiście, a w każdym razie nie w ten sposób. Musiałam go nieświadomie czymś urazić albo po prostu miał zły dzień.

– Kto, u licha, nagadał ci takich rzeczy na mój temat, Farrow? – natarłam na niego.

Denerwował mnie również tym (gdyż miałam w głowie całą listę zastrzeżeń do niego), że zawsze zwracał się do mnie po nazwisku. Jakby nie chciał, aby ktokolwiek zapomniał, czyją jestem wnuczką, choć nikt nie mógł o tym zapomnieć. Dlatego ja również zaczęłam się do niego zwracać po nazwisku, ale teraz z niepokojem pomyślałam, że mu to odpowiada.

– Nie słyszałaś o tym? – spytał ze śmiechem. – Najwyraźniej w tej szkole w każde kolejne walentynki wszyscy sprawdzają, czy tym razem Tilly Frost w końcu się złamie i umówi z kimś na randkę. Ludzie już chyba się o to zakładają. Ale nie jest to tak wielka sprawa jak zjawienie się tu tego nowego ucznia. Od rana słyszę tylko o tym, że mamy w szkole nowego supergwiazdora, lecz ty nie umawiasz się na randki z uczniami. Twierdzisz, że to wszystko są kłamstwa, Frost?

– Nic nie wiem o tym nowym chłopaku. Poza tym nigdy nie przysięgałam, że będę singielką, cokolwiek to znaczy. Zapewniam cię – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, bo nigdy nie przysięgałam w tej sprawie, a przynajmniej nie przy świadkach, lecz mimo to się zaczerwieniłam. Drew wiedział, jak do mnie dotrzeć.

Rachel przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie.

– Tilly, kochanie, nie chcę wam przerywać, ale dorośli mężczyźni naprawdę nie są o wiele dojrzalsi od uczniów – zaczęła mi perswadować.

– Nie zabroniłam sobie umawiania się na randki – oznajmiłam, choć pewnie żadne z nich w to nie uwierzyło, zwłaszcza że kłamałam. – Jestem po prostu zbyt na to zajęta, by móc mieć bzika na punkcie jakiegoś chłopaka i tracić na to czas. – A w myślach dodałam: „Zwłaszcza na punkcie takiego, który nie spełniałby moich – wygórowanych – oczekiwań".

– To bardzo rozsądne podejście – skomentowała Rachel. – Miałam nadzieję, że poświęcisz mi trochę

zaoszczędzonego w ten sposób czasu i wyświadczysz przysługę...

Wiedziałam, że po to mnie szukała. Mimo to byłam jej wdzięczna, że zmieniła temat.

– To zależy jaką – powiedziałam podejrzliwie.

– Czy mogłabyś jutro po południu sama poprowadzić zajęcia klubu książki uczniów młodszych klas? – spytała z miną osoby zdesperowanej. – Jutro wieczorem mam spotkanie w sprawie naszego festiwalu i muszę na nie przygotować mnóstwo rzeczy, w tym napisać zaproszenie do bardzo szczególnego gościa... Nie będę wymieniać nazwiska, ale gdyby odpowiedział pozytywnie, na pewno bardzo byś się ucieszyła.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

– Byłabyś zachwycona, zdumiona, oczarowana! – wykrzykiwała w podnieceniu Rachel, pochylając się nad bibliotecznym kontuarem.

– To mocne określenia – stwierdziłam i spytałam sceptycznie: – Skąd twoja pewność, że ten ktoś wzbudzi we mnie takie uwielbienie?

– Bo nieraz słyszałam, jak entuzjastycznie przyjmujesz jej książki – odparła i powiedziała do Drew: – Czuję, że ty też będziesz bardzo zadowolony ze spotkania z tą pisarką.

Ja i Drew wymieniliśmy spojrzenia. W całej naszej znajomości (choć trwała ona raptem pięć i pół miesiąca) nigdy nie mieliśmy takiego samego zdania na temat żadnej książki. Oczywiście głównie rozmawialiśmy o lekturach szkolnych (no dobra, kłóciliśmy się

o nie), a większość ich autorów nie żyła od kilkuset lat, więc szansa, że któryś z nich przybędzie na festiwal literacki w Westerbury, była znikoma. Mimo to nie potrafiłam sobie wyobrazić, że nasze upodobania literackie są w czymkolwiek zbieżne. Zaledwie kilka razy widziałam go w bibliotece, jak coś czytał lub przeglądał, na ogół powieści fantasy lub horrory czy jakieś naprawdę pesymistyczne dzieła. Nie były to złe książki, ale nie w moim guście. Mnie wciągała taka książka, w której od pierwszej strony wiedziało się, że wszystko potoczy się gładko, nawet jeśli pochłonięty lekturą czytelnik nie zawsze rozumiał, jak to się dzieje.

Marszcząc brwi, odwróciłam się do Rachel.

– Poddaję się – oznajmiłam i spytałam: – Kogo więc chcesz zaprosić?

Była tylko jedna autorka, o której potrafiła opowiadać godzinami, moja ulubiona (oczywiście druga po babci). Ale nie wydawało się możliwe, by chodziło o...

– Juanitę Cabrerę – odpowiedziała z szerokim uśmiechem, bardzo z siebie zadowolona.

Zamrugałam oczami. Brakowało mi słów, aby wyrazić zaskoczenie.

Nawet Drew spoglądał na nią zdziwiony.

– Próbujesz tu ściągnąć Juanitę Cabrerę?! – zawołał. – Ale przecież ona rzadko kiedy przyjeżdża do Wielkiej Brytanii.

– Tak nie jest od czasu, gdy wydała *Wisielca*, a to było prawie dziesięć lat temu! – uniosłam się,

zaskakując tą wiedzą Drew, i dodałam: – No co? To informacja z jej strony internetowej.

– Jesteś wielbicielką Cabrery? – spytał z niedowierzaniem.

– A dlaczego miałabym nie być? Sądzisz, że jest za trudna dla czytelniczki romansideł? – odparłam zaczepnie, bo bardzo nie lubiłam, gdy ludzie tak uważali, jakby opowieści o miłości i związkach między ludźmi nie były tak samo ważne jak te o czarach, wojnach i tym podobne. (Ba, uważałam nawet te pierwsze za ważniejsze, skoro jesteśmy skazani na życie wśród innych ludzi. Z pewnością dobre jest wszystko, co pomaga ich lepiej rozumieć).

– Ale przecież nie podoba ci się żadna książka, która nie ma happy endu – zwrócił uwagę Drew. – A Cabrera nie jest znana z gładko toczących się, poprawiających nastrój opowieści. Poza tym nie cierpisz fantasy.

– Cabrera nie uprawia fantasy. Jej proza jest bliższa realizmowi magicznemu – zaprotestowałam. – I tworzy pozytywnych bohaterów, a ich relacje i przyjaźnie z innymi osobami są zakorzenione w rzeczywistym życiu. Podobają mi się wspólnoty, które tworzy. – Poza tym prawie jej wybaczyłam, że mojej drugiej w kolejności ulubionej parze bohaterów literackich – Henriemu i Isabelli z jej powieści *Święta ziemia* – nie pozwoliła żyć długo i szczęśliwie.

– Oczywiście interesują cię bohaterowie, a nie polityka i społeczne przesłanie jej powieści – odparował

Drew, kręcąc głową. – Powinienem był się tego spodziewać.

– Czy nie może mnie interesować jedno i drugie? – spytałam zdziwiona, bo rzeczywiście tak było. – Nie mówiąc już o jej liryzmie i wyobraźni...

– Okej, okej – przerwała mi Rachel, spojrzała na nas błagalnym wzrokiem i spytała: – Czy nie możemy po prostu uznać, że oboje jesteście fanami tej pisarki?

– Pewnie tak – burknął Drew.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Serio zamierzasz ją ściągnąć do Westerbury na nasz festiwal? – spytałam z niedowierzaniem, bo na tyle, na ile się orientowałam, Juanita Cabrera miała grono wiernych fanów i nie przepadała za dużymi oficjalnymi wydarzeniami.

– Nie na sam festiwal – uściśliła Rachel. – W tym roku w okresie go poprzedzającym realizujemy trzymiesięczny cykl mniejszych eventów w różnych miejscach na naszym terenie. Tak się składa, że właśnie w tym czasie ona będzie w Wielkiej Brytanii...

Pisnęłam podekscytowana, a Drew przewrócił oczami, jakby nie był tym zachwycony tak jak ja.

– Niczego nie obiecuję! – uprzedziła mnie Rachel. – Ale jeśli jutro poprowadzisz spotkanie klubu książki, zobaczę, co da się zrobić.

– W takim razie na pewno je poprowadzę – oświadczyłam z szerokim uśmiechem.

W kieszeni blezera zabrzęczała moja komórka, co znaczyło, że w końcu bezwiednie przesunęłam się

w miejsce, gdzie był zasięg. Wyjęłam ją i na widok widniejącego na ekranie powiadomienia omal nie stanęło mi serce. Otrzymałam maila z bloga prowadzonego przez jedną z najważniejszych recenzentek romansów. W jednej chwili zapomniałam o Juanicie Cabrerze i skupiłam się na recenzji, która powoli wczytywała się do mojego telefonu. Śledziłam wzrokiem kolejne słowa, rozkoszując się każdym następnym i uśmiechając się coraz szerzej na widok pełnych pochwał zdań. Ale gdy skończyłam, zdałam sobie sprawę, że w chwili gdy babcia przeczyta tę recenzję, znajdę się w poważnych tarapatach.

2.

Pisarz to ktoś, kto pisze książki. To jest takie proste, a zarazem niesamowicie trudne.

Beatrix Frost, pisarka, wywiad dla BBC, 2004

Tego wieczoru siedziałam przy stole w kuchni, nerwowo skubiąc ostatnią kromkę czosnkowego chleba. Wzdrygałam się przy każdym uśmiechu babci zajmującej miejsce u szczytu stołu i krzywiłam się boleśnie, ilekroć tata stuknął palcem w ekran swojego tabletu. Mama spoglądała zrezygnowana na moich braci

bliźniaków, którzy siedzieli na swoich wysokich krzesełkach i rozsmarowywali po obrusie ryżowy pudding z bananami.

„Lada chwila – pomyślałam. – Lada chwila mój sekret wyjdzie na jaw".

– Bea, dziś ukazała się twoja najnowsza książka. Jak poszło? – zwróciła się mama do babci, nie zważając na moje zdenerwowanie.

Babcia spojrzała mi w oczy i już wiedziałam, o co chodzi. To było to.

– Dziękuję, bardzo dobrze. Zwykłe nagłe poruszenie w internecie – odparła, choć twierdziła, że nie rozumie, dlaczego media społecznościowe są dla ludzi tak atrakcyjne, a przecież przypadkiem odkryłam, że nałogowo korzysta z Twittera. – Aha, dziś rano przeprowadzili ze mną w radio wywiad na temat „charakteru miłości w dzisiejszych czasach". I jak się wydaje, przedsprzedaż wygląda dobrze.

– To się cieszę – powiedział tata, postawił tablet na stole i przysunął go do niej, pytając: – A widziałaś tę recenzję napisaną przez Florę Thombury?

Jako profesor matematyki pisał także książki popularnonaukowe. W tej najsłynniejszej zajmuje się matematycznymi uwarunkowaniami miłości, a więc prawdopodobieństwem poznania kogoś, zakochania się i zawarcia z nim związku małżeńskiego, ale także trwałością tego ostatniego. Oczywiście recenzowały ją inne osoby niż te zainteresowane powieściami babci, lecz tata jest przecież synem Beatrix

Frost, autorki znakomitych romansów, więc zna recenzentów i recenzentki tego gatunku literatury. Wie, że Flora Thombury jest jedną z najważniejszych. Jej recenzje mogą przyczynić się do sukcesu lub porażki książki.

Z powodu pobytu babci w szpitalu dostarczyłam wydawcy plik komputerowy jej najnowszej powieści późno i książka ledwie zdążyła trafić do księgarń w walentynki, jak planowano. W trakcie jej produkcji babcia dopiero dochodziła do zdrowia, więc to ja musiałam się zająć adiustacją tekstu i jego ostateczną korektą, czyli poprawić go po kimś. (Babcia nie znosiła tej ostatniej i zawsze powierzała jej wykonanie komuś innemu, zwykle mnie). Z powodu tego spóźnienia wydawca podjął istotną decyzję, że nie wydrukuje wcześniej egzemplarzy recenzenckich, z wyjątkiem tych przeznaczonych dla naprawdę ważnych i bardzo nielicznych krytyków literackich, którym kurier dostarczył je dopiero wczoraj. W sytuacji, gdy książka ukazała się dziś, znaczyło to, że recenzja Flory Thombury była pierwsza. Wiedziałam, że jest to recenzja znakomita, bo przeczytałam ją dziś w bibliotece. Znałam dokładnie jej treść i zdawałam sobie sprawę, jak jest dla mnie ważna. Gdy więc babcia podniosła tablet, nie odrywając ode mnie wzroku, wiedziałam, że też ją zna, że już ją przeczytała. Oczywiście, że tak. Zrobiła to, tak samo jak ja, w chwili, gdy recenzja została zamieszczona na blogu. Znaczyło to, że zna prawdę. I sprawi, że zacznę się wiercić nerwowo na krześle.

Wstrzymałam oddech, gdy spojrzała na ekran i zaczęła czytać recenzję na głos, wykorzystując swój talent teatralny.

Najnowsza powieść Beatrix Frost Wschód Jutrzenki – *ostatnia z cyklu „Jutrzenka" – wydana w sam raz w walentynki, to klasyka tej autorki w jej szczytowej formie.*

– Dobry początek. Zawsze lubiłam Florę – powiedziała babcia po przeczytaniu pierwszego zdania, wstała z krzesła i zaczęła chodzić po kuchni, czytając dalej.

Zniuansowane postaci, napisany z rozmachem romans, pozwalający uwierzyć w przeznaczenie i akcja kończąca się w sposób, dzięki któremu autorka stała się sławna ponad pięćdziesiąt lat temu, wraz z opublikowaniem swojej pierwszej powieści.

– Ach, napisany z rozmachem romans – podchwycił temat tata i zwrócił się do babci: – To coś w rodzaju twojej marki, prawda?

– Tak jak twoją jest sprowadzanie magii do matematyki – odpowiedziała mu z czułością babcia. – Tak jak marką twojej żony jest zamiana wszystkiego w naukę.

– Uznałam, że udany romans sprowadza się do chemii – oznajmiła z uśmiechem mama.

Wykłada na tym samym uniwersytecie co tata, ale nie jest matematyczką, lecz psycholożką. Bada, w jaki sposób mózg kieruje reakcjami człowieka, a zwłaszcza zakochiwaniem się. (W ubiegłym roku ona i tata wydali wspólnie książkę, wykorzystując w niej swoją

specjalistyczną wiedzę i dowodząc nią, że miłość może przetrwać nawet niezgodę współautorów w sprawie tytułów rozdziałów).

Faktem jest, że przy bardzo odmiennym podejściu do sprawy miłości moi rodzice i babcia przynajmniej umieli wzajemnie szanować swoje poglądy. (Bo w żaden sposób nie oznaczało to zgody między nimi w tej sprawie. Potrafili przy niedzielnym obiedzie przez cały czas sprzeczać się o to, czy zakochanie się w kimś jest kwestią czyjegoś losu, rachunku prawdopodobieństwa czy też chemii. Gdy kończyłam jeść szarlotkę, wciąż się o to spierali).

Kiedy babcia spojrzała z powrotem na ekran tabletu, poczułam skurcz żołądka, bo wiedziałam, co teraz nastąpi.

– *Ostatnie sceny okazały się tak zadowalające – stanowiąc sekwencję spójnych, szybko zmieniających się wydarzeń, które łączą wszystkie luźne wątki występujące w całym cyklu – a zakończenie tak przejmująco doskonałe dla oddanych od lat pisarce królowych Beatrix (jak chętnie nazywają siebie masy wielbicielek Frost), że czuję się zmuszona wrócić do początku i ponownie przewertować wszystkie szesnaście książek z tego cyklu.* – Przeczytawszy ten fragment, babcia spojrzała na mnie ponownie i następne zdanie wyrecytowała z pamięci: – *Jak zwykle, nie było żadnych spoilerów, ale zwłaszcza ostatnia scena, która połączyła historię Huw i Rosy, wprowadziła zarówno niespodziankę, jak i dała czytelnikowi dziwne poczucie, że ich historia mogła się skończyć tylko w ten sposób.*

Huw i Rosa. Od czterech lat to właśnie oni zajmowali pierwsze miejsce na liście moich ulubionych bohaterów literackich wszech czasów, od kiedy jako dwunastolatka zaczęłam czytać powieści z cyklu „Jutrzenka". Bez wątpienia mogła mnie zdradzić ta moja usilna chęć, aby wszystko skończyło się happy endem.

Utkwiłam wzrok w stole pełnym okruchów czosnkowego chleba.

Babcia odwróciła się do tabletu i odczytała ostatnie zdanie recenzji:

– To jest imponujące osiągnięcie tej królowej romansu – i może, jak dotąd, jej najlepsza książka.

Przy stole znowu zapadło milczenie, gdy wszyscy czworo zastanawialiśmy się nad ważnością tego artykułu. Oczywiście była to zaledwie jedna recenzja, ale autorstwa Flory Thombury, i tylko to się liczyło. A gdyby wszystkie okazały się takie jak ta? Tego nie dało się wykluczyć. Babcia to sprawiła. Choć była półprzytomna z powodu zapalenia płuc i spóźniona z książką o ponad sześć miesięcy, dokonała cudu. Napisała powieść, która zadowoliła redaktorkę i najważniejszą recenzentkę, i miejmy nadzieję, spodoba się jej wiernym fanom. Szesnaście lat po rozpoczęciu – w roku mojego urodzenia – swojego najdłuższego cyklu powieściowego właśnie go zakończyła. A ostatnia książka z tego cyklu spodobała się co najmniej Florze Thombury. Problem tkwił w tym, że w rzeczywistości babcia nie w pełni była autorką swojej ostatniej książki, o czym dowiedziała się z tekstu Thombury.

– Bea, to jest znakomita recenzja! – wykrzyknęła rozpromieniona mama, przerywając panujące milczenie. – Na pewno jesteś z niej zadowolona.

– Ależ oczywiście – potwierdziła babcia i znowu się do mnie uśmiechnęła, a ja poruszyłam się na krześle. – Cieszę się zwłaszcza z tego, że jak się okazało, warto było podjąć historię Huw i Rosy. Oni zawsze byli twoimi faworytami, prawda, Tilly?

– Bez dwóch zdań – odparłam z wymuszonym uśmiechem.

– Muszę wyznać, że po takiej recenzji nawet ja nie mogę się doczekać, kiedy pochłonę tę powieść – oznajmił tata, który rzadko kiedy oddawał się lekturze romansów autorstwa swojej matki. Zawsze powtarzał, że w czasie wolnym od czytania bliźniakom książek z obrazkami i przyswajania sobie na bieżąco tekstów naukowych ma wiele innych rzeczy do przeczytania.

Ale cykl „Jutrzenka" był czymś szczególnym. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat babcia napisała ponad sto książek, jednak tylko ten cykl uznawała za swój dorobek o wartości historycznej. I to on zapewnił jej prawdziwą sławę, zwłaszcza że na jego podstawie powstał serial telewizyjny. (Wprawdzie był nadawany tylko przez dwa sezony, ale zyskał wielki rozgłos. Czasami babcia musiała się zjawiać na planie filmowym jako konsultantka, co uwielbiała. Zdarzało się, że zabierała mnie tam wtedy ze sobą). Dlatego uważałam, że bezwzględnie należy ten cykl ukończyć, pomimo że babcia zachorowała i była do tego niezdolna.

– Powinnam odpowiedzieć czytelnikom na te wszystkie miłe komentarze, które przeczytałam w internecie – oznajmiła, oddała tacie tablet, spojrzała na mnie stanowczym wzrokiem i zaproponowała: – Może byś mi w tym pomogła, Tilly?

– Oczywiście – odparłam, zwinęłam serwetkę i położyłam ją na blacie pełnym okruchów chleba. – Bardzo chętnie.



Ze smętną miną ruszyłam za babcią po schodach do jej gabinetu na piętrze, słysząc, jak rodzice starają się przekonać bliźniaki, że pora na wieczorną kąpiel. Przynajmniej będą zbyt zajęci w łazience i nie usłyszą mojej kłótni z babcią, gdyż w czasie wieczornej kąpieli Finn i Freddie zachowywali się głośniej niż nawet Beatrix Frost w napadzie złości. Powinnam być raczej wdzięczna losowi, że powstrzymała się z wymówkami pod moim adresem w czasie obiadu. Bo trochę się obawiałam, że wstanie energicznie z krzesła, wyceluje we mnie swój kościsty palec i krzyknie: Plagiatorka! Ale plagiator to ktoś, kto przywłaszcza sobie cudzą twórczość. Ja tego nie zrobiłam. Jak więc należałoby nazwać wnuczkę, która prezentuje własne pisarstwo jako pisarstwo babci? Zapewne fałszerką.

Zatrzymałam się przed drzwiami gabinetu, zastanawiając się, czy za ten czyn trafia się do więzienia.

Ale przecież miałam dopiero szesnaście lat. Prawdopodobnie najgorsze, co mogło mnie spotkać, to zamknięcie w poprawczaku.

– Wchodzisz czy nie?! – krzyknęła zniecierpliwiona babcia.

Przestałam się więc martwić takimi rzeczami. Bądź co bądź książka została napisana, wydrukowana i skierowana do sprzedaży. Teraz niewiele mogłam już zrobić, prawda?

Odetchnęłam głęboko i weszłam do środka, przypominając sobie, jak przekroczyłam próg tego pokoju po raz pierwszy, gdy miałam cztery lata. Trzymałam wtedy w ręce książkę ze zdjęciem babci i spytałam, co tam robi, a ona odpowiedziała:

– No jak to, kochanie? Oczywiście jestem w tej książce, bo ją napisałam. A teraz piszę następną. Chciałabyś mi pomóc?

Wówczas po raz pierwszy dotarło do mnie, że wymyślanie różnych historii może być czyjąś stałą pracą. Tak zaczęła się nasza wspólna wyprawa w świat wyobraźni pisarza. Czyżby dzisiaj miał nastąpić jej kres?

Babcia usiadła sztywno przy biurku, włożywszy na głowę jasnoczerwony beret, spod którego wystawały nieskazitelnie uczesane siwe włosy. Inne babcie zwykle od pewnego wieku nosiły krótkie włosy albo je farbowały, chcąc wydać się młodszymi, niż były. Ona natomiast szczyciła się swoimi gęstymi, długimi do ramion, srebrzystobiałymi włosami.

– Robią wrażenie nawet na oficjalnych czarno-białych zdjęciach – powtarzała stale.

Kiedyś miały barwę rudą, żywą i mocną, a nie blond o rudym odcieniu, jak moje. Na podstawie jej starych zdjęć można powiedzieć, że wtedy wyglądały jeszcze bardziej imponująco. Babcia zawsze była wielką pięknością. Odziedziczyłam po niej ten kolor włosów tylko do pewnego stopnia, gdyż mój miał łagodniejszy odcień. Niemal identyczne były natomiast nasze intensywnie zielone oczy. Ale na tym kończyły się fizyczne podobieństwa między nami, bo babcia była wysoka i smukła, a ja, po mamie, niższa i bardziej zaokrąglona.

Z niepokojem wpatrywałam się w beret babci, gdyż każde jej nakrycie głowy miało jakieś znaczenie. On symbolizował poważną dyskusję, a może nawet sprzeczkę.

Babcia powoli odwróciła w moją stronę twarz i utkwiła we mnie swoje bystre oczy.

– Czemu nie siadasz? – spytała oschłym tonem. – Chyba że wolałabyś zająć moje miejsce?

Skrzywiłam się boleśnie i zapewniłam ją:

– Wszystko ci wyjaśnię, babciu.

– Och, mam taką nadzieję – odparła, składając dłonie na kolanach. – Od czasu pojawienia się w internecie tej recenzji próbuję sobie wyobrazić, jakie będzie to wyjaśnienie.

– A więc mogę...? – spytałam, znowu się krzywiąc.

W jednej chwili wyniosła wielka dama literatury popularnej oczekująca na moje wyjaśnienie zniknęła

i zastąpiła ją taka babcia, jaką znałam i kochałam. W jej oczach i wyrazie ust pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech, spojrzała w górę, uniosła ręce i przywołała mnie do siebie.

Z westchnieniem ulgi ruszyłam w stronę zajmowanego przeze mnie zwykle miękkiego pluszowego fotela, który stał pod oknem, obok biurka babci.

– Przyszło mi do głowy tylko to, że jakoś ratowałaś mnie przede mną, ty mała męczennico – powiedziała, uniosła brwi w oczekiwaniu na moją reakcję i spytała: – Czy mam rację?

Starałam się nie wiercić za bardzo w fotelu, gdy potwierdziłam:

– Coś w tym rodzaju. Zaczęłaś chorować i musiałaś pójść do szpitala...

– Ale pamiętam, jak tu ze mną byłaś – oznajmiła, marszcząc brwi – i opowiadałam ci o książce, dając wszystkie notatki potrzebne do jej ukończenia. Nie poszłabym do szpitala, dopóki nie napisałabym ostatnich scen.

I nazwała mnie męczennicą.

– To prawda – potwierdziłam.

– Czuję, że zaraz powiesz „ale" – powiedziała oschłym tonem babcia.

– Majaczyłaś, babciu. Miałaś zapalenie płuc – broniłam się.

– Jestem pisarką – oświadczyła i znowu przybrała sztywną pozę. – Co się tyczy mojej twórczości, to przed ukończeniem książki na czas powstrzymałoby mnie coś więcej niż tylko świadomość śmierci.

– Kiedy poszłaś do szpitala, byłaś już spóźniona o pięć miesięcy – zwróciłam jej uwagę.

Uśmiechnęła się szeroko i odparła:

– W praktyce oznacza to dla mnie zdążyć na czas.

– Zgadza się – potwierdziłam.

Babcia miała kłopot z dotrzymywaniem terminów, choć od czasu, gdy zaczęłam jej pomagać, nastąpiła pod tym względem poprawa. Już tylko z tego powodu, że byłam bardzo zaangażowana w to, co pisała, ponaglałam ją, bo chciałam się szybciej dowiedzieć, co będzie dalej. Latem, kiedy zamieszkaliśmy u niej z tatą, przeczytałam wszystkie dwanaście powieści z cyklu „Jutrzenka", które do tego czasu napisała. Cykl opowiada o Harwoodach – dużej ekscentrycznej rodzinie mieszkającej w popadającej w ruinę posiadłości o nazwie „Jutrzenka". W każdej z tych książek w centrum wydarzeń znajduje się inna para bohaterów, którzy zakochują się w sobie, a tło dla ich miłosnych perypetii stanowi życie pozostałych członków rodziny. Babcia napisała także dużo innych romansów, których akcja toczy się w angielskich wioskach, na samotnych wyspach czy w pałacach, ale moim zdaniem najlepiej zostanie zapamiętana właśnie z cyklu „Jutrzenka". Najbardziej podoba mi się w tym cyklu to, że czytelnik czuje się tak, jakby dorastał w tej rodzinie i był jej członkiem. To ten sposób pisania przyniósł babci sławę. Tamtego lata naprawdę żałowałam, że nie należę do rodziny Harwoodów.

Po przeczytaniu dwunastu powieści zapukałam do drzwi gabinetu babci, wiedząc, że pisze trzynastą, i gdy weszłam do środka, spytałam:

– Co się dzieje z Huw i Rosą?

W dwunastej książce oboje byli mniej więcej w tym samym wieku, w jakim sama wtedy byłam, i oczywiście z tego względu odczuwałam z nimi najsilniejszą więź. Oboje mieli wtedy po czternaście lat. Ja jako dwunastolatka niewiele wiedziałam o miłości, ale rozumiałam, że są sobie przeznaczeni.

Nie podnosząc wzroku znad papieru, babcia odpowiedziała:

– Zacznij mi pomagać, to może się dowiesz.

Tak to się zaczęło. Na początku kazała mi segregować i układać trzymane w pudełkach notatki w coś zbliżonego do zarysu fabuły. Później w weekendy zaczęłam dla niej robić research, gromadząc informacje na różne tematy, na przykład na temat roślin leczniczych, oszustw podatkowych, rozkładu jazdy pociągów i typów pogody. Babcia pisała odręcznie i zatrudniała kogoś do przepisywania rękopisów na komputerze. Jako czternastolatka z dumą pokazałam jej świadectwo ukończenia internetowego kursu pisania bezwzrokowego na klawiaturze komputera i wówczas pozwoliła mi również przepisywać swoje rękopisy. Uwielbiałam to, że czytam je jako pierwsza, tym bardziej że dostawałam za to pieniądze. Ale w wykonywanych dla babci pracach pomocniczych najbardziej lubiłam przemieniać jej zapisane na samoprzylepnych

karteczkach pomysły i nabazgrane na kartkach zalążki pomysłów w książkę, którą w danym momencie pisała. W jej gabinecie wszędzie leżały kartki z pierwszymi szkicami powieści, w następstwie czego gubiła jakieś rozpoczęte wątki i zapominała o niektórych bohaterach. W ten sposób na przykład postać, która mogła mieć kluczowe znaczenie w drugim rozdziale, nagle znikała i pojawiała się dopiero w ostatniej scenie, a czasem nie pojawiała się wcale!

Gdy więc babcia ukończyła szkic powieści, dawała mi go do przeczytania, a ja znajdowałam w nim wszystko, co doprowadzało mnie do szału jako czytelniczkę, gdyż nie wiedziałam, co się stało z daną postacią albo nie rozumiałam, dlaczego inna coś zrobiła. Chodziło o tego rodzaju rzeczy. Wówczas w cukierni pod wzgórzem, na którym stał dom babci, kupowałyśmy ciastka, zaparzałyśmy sobie herbatę i rozprawiałyśmy się z tym szkicem. Następnie babcia poprawiała go tak, jak chciała, a ja przepisywałam nową wersję powieści na komputerze. Ta metoda pracy się sprawdzała. Dwie ostatnie książki babci, nad którymi pracowałyśmy w ten sposób, miały minimalne poprawki redakcyjne i otrzymały jedne z najlepszych recenzji w jej pisarskiej karierze. Nie byłam tak zarozumiała, aby uważać, że wszystko to jest moją zasługą. Jednak dla babci miało znaczenie, że – jak mówiła – z autorki stała się także czytelniczką swoich powieści. Tak było do ostatniej książki, do *Wschodu Jutrzenki*.

Zanim babcia udała się do szpitala, przekazała mi wszystkie notatki do prawie już ukończonej powieści,

czyli napisanej w trzech czwartych. Przepisałam ją na komputerze i przygotowałam do druku. Do napisania pozostało kilka ostatnich rozdziałów, co miałam zrobić na podstawie szkicu, który wręczyła mi babcia przed odjazdem do szpitala. Gdy karetka odjechała wraz z nią na sygnale, rzuciłam na ten tekst okiem i uświadomiłam sobie, że będzie on dla mnie bezużyteczny.

– Babciu, naprawdę się starałam pisać na podstawie twoich notatek – oznajmiłam z westchnieniem. Z czasem nauczyłam się bezbłędnie rozszyfrowywać używane przez nią skróty, nie mówiąc już o jej... powiedzmy... wyróżniającym się charakterze pisma. Ale nawet ja nie rozumiałam tego, co napisała na kartkach, które wcisnęła mi do rąk, gdy wsiadała do karetki. Dodałam więc, tytułem usprawiedliwienia: – Ale naprawdę brakowało w nich sensu. – Poza tym słowem nie wspomniała w nich o losach Huw i Rosy, co z pewnością należało uznać za niedopatrzenie.

– Wobec tego, co z moimi wcześniejszymi notatkami? – spytała ostrym tonem. – Ze szkicami i pomysłami sprzed mojej choroby? Na pewno mogłaś na ich podstawie ułożyć takie zakończenie książki, jakiego chciałam, prawda?

– Ułożyłam! – zaprotestowałam. – Było po prostu... – Przerwałam i bezradnie wzruszyłam ramionami. O niewielu rzeczach nie mogłam babci powiedzieć, i czułam, że to jest jedna z nich.

– Dokończ – poleciła mi i znowu złożyła dłonie na kolanach, demonstrując w ten sposób nieskończoną

cierpliwość (której w rzeczywistości nie miała, o czym obie doskonale wiedziałyśmy. Czasami jest bardziej niecierpliwa od bliźniaków, którzy nie skończyli jeszcze dwóch lat).

– Było po prostu... – powtórzyłam i przełknęłam ślinę. – Notatki, które mi zostawiłaś... Nie uważałam, że w pełni oddają to, co chciałaś napisać. – To brzmiało dobrze, prawda? O wiele lepiej niż: „Były beznadziejne. Gdybyś czuła się dobrze, spostrzegłabyś to i zrobiła inne".

– Chcesz powiedzieć, że były beznadziejne – oznajmiła babcia, jakby czytała w moich myślach, a to ostatnie słowo brzmiało dziwnie w jej perfekcyjnie umalowanych ustach. – I zmieniłaś zakończenie, bo...

– Bo pragnęłam, abyś była z tej książki dumna – odpowiedziałam w nadziei, że to dobra odpowiedź.

– I? – ciągnęła mnie za język.

– Hm... I aby twoi wielbiciele byli zadowoleni z zakończenia cyklu – uzupełniłam.

– I? – docisnęła mnie znowu, wychylając się z krzesła.

Szukałam jakiejś odpowiedzi, ale jedyna, jaka mi przyszła do głowy, była niestosowna.

– Wyduś to z siebie – ponagliła mnie.

Skrzywiłam się boleśnie. Mogłabym przysiąc, że czasami naprawdę czytała w moich myślach.

Uznałam, że wiem, co chce ode mnie usłyszeć: szczerą prawdę, do której nie przyznałam się nawet sama przed sobą, dopóki mnie do tego nie zmusiła.

Rodzina zachęcała mnie do realizowania własnych aspiracji i osiągania sukcesów i czerpała z nich dumę. Ale jak mogłam powiedzieć babci, że przerobiłam zakończenie jej książki, bo uznałam, że potrafię zrobić to lepiej od niej? Jednak ona wciąż czekała na moją odpowiedź.

– Nie możesz zapominać, jak bardzo byłaś chora – zaczęłam. – Nie mogłaś w tym stanie wprowadzić w książce potrzebnych zmian. Byłam pewna, że chciałabyś to zrobić, gdyby stan zdrowia pozwolił ci je ze mną omówić. Ale w zaistniałej sytuacji uznałam... uznałam, że napiszę to lepiej.

Słysząc to, babcia zerwała się z krzesła z energią, której nie można było się spodziewać po siedemdziesięcioletniej kobiecie.

– Aha! Uznałaś, że możesz napisać moją książkę lepiej ode mnie! – wykrzyknęła oburzona, a zarazem usatysfakcjonowana, że zmusiła mnie do tego wyznania.

– Tak jakby – pisnęłam, kuląc się w tym wielkim fotelu.

– I miałaś rację! – zawołała, siadając na poręczy mojego fotela. – Dziś po południu przeczytałam to zakończenie. Stworzyłaś wszystkie momenty kulminacyjne, połączyłaś wszystkie luźno powiązane sprawy i odpowiedziałaś na każde pytanie moich liczących się wielbicielek, zadawane przez królowe Beatrix od lat.

– Czyli podobało ci... ci się? Nie jesteś na mnie zła? – upewniłam się, z niedowierzaniem mrugając

oczami i starając się nadążyć za zmieniającym się humorem babci.

– Zła? Jestem zachwycona. Postąpiłaś słusznie. Napisałaś zakończenie, które ja chciałabym napisać, gdyby zdrowie mi pozwoliło – wyznała, objęła mnie za szyję, przyciągnęła do siebie, cmoknęła w głowę i dodała: – Powstaje pytanie, co będziesz robić teraz.

– Teraz? – spytałam, odsuwając się, aby zobaczyć jej minę. Była poważna. – Po prostu uznałam, że skoro już jesteś zdrowa, powracamy do naszego dotychczasowego sposobu pracy.

Zerwała się z poręczy i ruszyła do okna po przeciwnej stronie gabinetu.

– Nonsens – obruszyła się z powściągliwym uśmiechem, gestykulując z ożywieniem, jak zwykle robiła podczas wygłaszania przemowy. – Zawsze wiedziałam, że twoim przeznaczeniem, tak jak moim, jest pisanie książek. Jak sądzisz, dlaczego od najmłodszych lat wciągałam cię tak mocno w swoją pracę?

– Bo chciałaś, aby ktoś przepisywał na komputerze twoje rękopisy i rozszyfrowywał twoje niewyraźne pismo? – odpowiedziałam jej pytaniem na pytanie, choć w rzeczywistości nigdy nie ukrywałam swojej ambicji zostania pisarką. Od kiedy zdałam sobie sprawę, że jest to zawód, wiedziałam, że chcę go wykonywać.

– No cóż, to też było ważne – oznajmiła babcia z szerokim uśmiechem. – Ale głównie dlatego, że w trakcie naszej współpracy dostrzegłam w tobie swoją następczynię. Nie będę przecież żyła wiecznie.

– Myślę, że na strychu jest portret, który ośmieliłby się z tym nie zgodzić – zażartowałam.

Babcia przewróciła oczami.

– Żart Doriana Graya[1]. Bardzo oryginalny – stwierdziła i dodała: – Ilu to leniwych redaktorów magazynów ilustrowanych już go wykorzystało? A ja ciągle im powtarzam, że mam wyjątkowo dobrą skórę i geny. – Przyjrzała mi się i zauważyła z westchnieniem: – Jaka szkoda, że odziedziczyłaś cerę po matce.

– Dzięki, babciu – odparłam z udawaną urazą w głosie, bo w rzeczywistości czułam ulgę, że znowu podejmujemy bardziej zwyczajne tematy.

Nikt nie wierzył, że jeszcze nie zrobiła sobie operacji plastycznej, tak dobrze wyglądała. Rozmowa z nią o tym była dla mnie czymś zwyczajnym, w przeciwieństwie do poruszania tematu jej śmierci. A co do jej twierdzenia, że zostanę pisarką... No cóż, napisanie trzech rozdziałów książki na pewno mnie nią nie czyniło. Tyle wiedziałam. Nie znaczy to, że przedtem nie próbowałam pisać książek. Miałam notatnik pełen pomysłów literackich, próbek dialogów i opisów bohaterów. Gdybym kiedyś uznała, że będę wystarczająco dobrą pisarką, może nawet bym go wykorzystała do napisania książki. Ale obecnie wielką frajdę sprawiała mi współpraca z babcią nad jej książkami, co nie

[1] Aluzja do głównego bohatera powieści Oscara Wilde'a *Portret Doriana Graya* (wyd. pol. 1906, przekł. Maria Feldmanowa), zamiast którego starzał się jego portret (przyp. tłum.).

zachęcało mnie do podejmowania własnych prób literackich. Nie jest łatwo zasiąść do pisania powieści, gdy nieopodal w swoim gabinecie jedna z autorek bestsellerów wszech czasów pisze kolejny romans. Powtarzałam sobie, że jeśli kiedyś przyjdzie mi do głowy pomysł powieści, której nie mógłby napisać nikt inny, to wtedy przystąpię do pracy. Ten dzień po prostu jeszcze nie nadszedł. Niestety, babcia tak łatwo się nie poddawała.

– Tak uważam – oznajmiła, celując we mnie palcem o pięknie wypielęgnowanym paznokciu, który był w takim samym czerwonym kolorze jak jej beret i buty. Również diabelski błysk jej oczu mógł się kojarzyć z czerwienią. – Pracowałam tak ciężko nie po to, aby ta twórczość odeszła wraz ze mną. Chcę, aby ktoś kontynuował moje dzieło, by nasza rodzina była rodziną pisarzy, z pokolenia na pokolenie dostarczającą wiernym fanom dreszczyku emocji i przyjemności czytania. Ty, Tilly, jesteś moją kontynuatorką.

– A czego konkretnie ode mnie oczekujesz? – spytałam, patrząc na nią podejrzliwie, gdyż wiedziałam, że w jakiś sposób mnie ukarze za napisanie zakończenia jej książki.

– No cóż, skoro już skończyłaś jedną książkę, to czas zacząć następną – oświadczyła triumfalnym tonem. – Chciałabym, abyś napisała pierwsze trzy rozdziały mojej nowej powieści.

Podziękowania

W pisaniu książki bierze udział więcej osób niż tylko główna postać. Dziękuję więc wszystkim postaciom drugoplanowym!

- Mojej agentce wydawniczej Gemmie za wspaniałe pomysły,
- Redaktorkom mojej książki: Ruth Bennett i Rachel Boden za pomoc w opowiedzeniu tej historii,
- Graficzce Sarze Mognol za świetną okładkę,
- Wszystkim w wydawnictwie Stripes za zaangażowanie w ten projekt (i wkład pracy w jego realizację!) dorównujące mojemu,
- Fantastycznym kobietom (i wspaniałym mężczyznom) z miasta Stevenage,
- Członkiniom chóru żeńskiego nie tylko za śpiew, lecz także za opowiedziane historie (niektóre z nich mogły się znaleźć w tej książce),
- Niesamowitym kobietom z serwisu mailowego Harlequin Mills & Boon Romance Authors. Zawdzięczam im wiedzę o romansie jako gatunku literackim,

- Wszystkim redaktorkom i redaktorom moich wcześniejszych i ostatnich romansów za to, że tę wiedzę uzupełnili! Dziękuję Wam: Charlotte, Pippa, Victoria, Lucy, Nic i Megan,
- Gorliwym korektorkom o sokolim wzroku, wyłapującym wszystkie błędy: Georginie, Ann Marie, Ali i Ally,
- Moim rodzicom i dziadkom niezmiennie za wszystko,
- Mojej córce Holly za to, że tak samo jak ja uwielbia opowiadanie historii i codziennie pobudza moją wyobraźnię,
- Mojemu synowi Samowi za to, że zainspirował mnie do stworzenia postaci Finna i Freddiego, przypominając mi nieustannie, jaki bałagan potrafią zrobić małe dzieci. Ale także za rozkoszne uściski i piosenki oraz pytanie: „Wszystko u ciebie w porządku, mamusiu?", zadawane po to, aby to sprawdzić,
- A przede wszystkim mojemu mężowi Simonowi za naukę miłości i przypominanie mi codziennie, jak jest cudowna.

O autorce



Kathy Cannon urodziła się w Abu Zabi, a wychowała w Walii. Ukończyła Uniwersytet w Lancaster, a następnie przez pięć lat pomieszkiwała w Londynie i Hertfordshire oraz hotelach na całym świecie. Potem osiadła na stałe w niewielkim mieście targowym niedaleko Cambridge. Ma męża, dwoje dzieci, złotą rybkę i o wiele za dużo notatników. Jako nastolatka stale wpadała w kłopoty wynikające z tego, że kiedy powinna była robić coś innego, czytała. Obecnie wpada w nie głównie z tego powodu, że wymyśla kolejne historie do opowiedzenia, zamiast pisać te, nad którymi zaczęła już pracować.

www.katycannon.com
@KatyJoCannon

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiekolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl

Tilly zawsze chciała pisać książki jak jej babcia – autorka bestsellerowych romansów.

Kiedy więc babcia prosi dziewczynę, żeby stworzyła za nią kolejny romans, Tilly myśli, że ziściło się jej marzenie. Problem polega jednak na tym, że Tilly nigdy się nie zakochała, nigdy nie miała chłopaka, nigdy się nie całowała. Jak więc może napisać coś prawdziwego? Ma jednak plan:

- Flirtować.
- Rozkochać w sobie nowego ucznia – superprzystojnego i popularnego chłopaka.
- Zapisać nowe doświadczenia.

Łatwizna? Ale prawdziwe życie wcale nie toczy się jak w książkach.

Zajrzyj na: zielonasowa.pl

15+ WIEK

ISBN 978-83-8154-089-6

9 788381 540896 >

Cena detaliczna: 34,90 zł (w tym 5% VAT)

Patroni:

STYLOWI.PL

polki.pl